

POROZMAWIAJMY
JAK BORKOWSKA
Z BORKOWSKIM

MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB / IGOR BORKOWSKI

POROZMAWIAJMY
JAK BORKOWSKA
Z BORKOWSKIM



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:

Jacek Zelek

Redakcja:

s. Małgorzata Borkowska OSB

Igor Borkowski

Korekta:

Agnieszka Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 157/2019, Tyniec, dnia 9.07.2019 r.

† Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze 2019 r.

ISBN 978-83-7354-911-1

© Copyright by s. Małgorzata Borkowska, Igor Borkowski

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. (012) 688-52-95; tel./fax: (012) 688-52-91

e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

druk@tyniec.com.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp	7
I. Ludzie	13
II. Lektura	49
III. Sens	65
IV. Dom	89
V. Niepapierowe	109
VI. Krata	135
VII. Początek	163
VIII. Zmiana	185
IX. Czas	199
Biogramy	237
Książki	241



Postulantka (zima 1964/65)

WSTĘP

Usiedliśmy rozmawiać. Niby to nie był pierwszy raz, niby wcześniej to się już zdarzało. Teraz okazało się, że będziemy rozmawiać inaczej. To znaczy, w jakimś stopniu będziemy rozmawiać, a w jakimś, większym, jedno będzie mówić, a drugie będzie słuchać (czasem zadając pytania, czasem coś wtrącając, czasem nieco prowokowane odpowiadając). Nazywamy się tak samo, przynajmniej częściowo interesuje nas, choć z różnych perspektyw, fenomen życia zakonnego (a najbardziej żeńskiego, klauzurowego, na ziemiach polskich; to w przypadku Borkowskiego, Borkowska w bogatszych i wielowątkowych kontekstach jest mistrzynią). Postanowiliśmy się na spokojnie rozmówić. Owoc tego rozmawiania Czytelnik znajdzie w książce. Pytającego Borkowskiego fascynuje i zastanawia, jak to jest, że się jednak decyduje na życie zakonne, wspólnotowe, mnisze. Oględnych czy uogólniających wyjaśnień jest wiele, trudno wytłumaczyć coś tak osobistego i niewyraźnego jak fenomen powołania. Dlatego w rozmowie wiele będzie właśnie o tym, jak to się wszystko z tak zwanym wstąpieniem dzieje. My, Borkowscy, tak mamy, że patrzymy na

życie zakonne, żeńskie, mówiąc między nami szczerze, chyba jeszcze bardziej niż męskie, z prostą sympatią i naturalnym zrozumieniem, oby (to w odniesieniu do Borkowskiego) bez protekcyjności, miejmy nadzieję (to co do Borkowskiej) bez nieuzasadnionej idealizacji. Czy nam się uda mówić ze sobą szczerze, ocenią Świadkowie, czyli Czytelnicy.

Borkowska znalazła się w niepowtarzalnym miejscu w niezwykłym czasie. Pewnie każdy ma taki czas i takie miejsce, ale w biografii Borkowskiej wyraźnie dostrzegalne jest następstwo i skutki tych spotkań na drodze życia. Nie chodzi tu wyłącznie o spotkania z Ludźmi, jeśli mamy na myśli warstwę realną, doczesną. Chodzi także o spotkania z bohaterami zbiorowej wyobraźni, o spotkania ze słowem, tekstem, relacją, którą buduje. Bardzo to wszystko Borkowskiego będzie ciekawić, dlatego sporo miejsca poświęci dociekaniu, jak to było z tym słowem. Chyba wie, o co pyta, skoro ma do czynienia z Borkowską Wielu Wcieleń, także z Pisarką (Borkowski od lat czyta na zajęciach z kreatywnego pisania *Bajki starej mniszki*, a później prosi, by według wzoru własną napisać. Współczesna napisała, to i kolejni Współcześni mogą próbować). Prosimy wspólnie o wybaczenie, że zaprzątziemy uwagę Czytelnika prywatnymi sprawami, oboje jesteśmy z pierwszego wykształcenia polonistami, trudno czynić zarzut z tego, że o polonistyce tyle będzie. Będzie, bo musimy sobie wszystko wyjaśnić. Borkowska wciąż będzie zmierzać, a Borkowski skutecznie przeszkadzać w tej wędrówce, do tego, by Czytelnikom powiedzieć to, co ważne. Borkowski jest tu słabszym

ogniwem, łapanym na nieznajomości rzeczy, na zadawaniu nietrafionych pytań, na ujawnianiu wstydliwych przekonań. Trudno. Tak było, niech będzie w formie drukowanej.

Rozmawialiśmy długo, z przerwami, co jakiś czas. Umówiliśmy się, jak Borkowska z Borkowskim, że to nie będzie klasyka gatunku, że to nie będzie wywiad-rzeka, który w centrum stawia biografię w chronologicznym jej układzie („Urodziła się pani i co było dalej...?”). Borkowski, który odpowiada za kształt tekstu, zapatrzył się na książeczkę-bibelot *Do ciotusieńki dobrodziejki...*, powieść epistolarną, fikcyjną w treści i w odniesieniu do bohaterów, realną w formie i autorstwie (ilu się nabrało, wie tylko Borkowska, wydawca i nabrani, gdyby się zliczyli). Borkowska chyba jednak chciała, by było za porządkiem od narodzin do dnia dzisiejszego, zgodnie z kalendarzem, logiką, następstwem czasu i faktów. Borkowskiemu udało się przekonać, że może być inaczej, nie musi być za porządkiem (między nami mówiąc, wziął po prostu na przeczekanie).

Przeczekanie jest ważne. Rzecz, którą Czytelnik ma w ręku, powstawała i pisała się długo. Rozmawialiśmy w Staniątkach, gdzie Borkowska czasowo była osiedlona w delegacji, dialogowaliśmy w wielu rozmaitych okolicznościach, gdy już wróciła do Żarnowca. Borkowski chciał napisać „do siebie”, bo wciąż trudno mu zrozumieć, że mniszka może być u siebie wszędzie, gdzie obowiązek i potrzeba wskażą. Borkowska potrafi. Niby młoda nie jest, a jednak żywotna i intrygująca. Dlatego, by nie przedłużyć, wspólnie zapraszamy do lektury, do przy-

słuchiwania się, jak to w rozmowie Borkowskiego z Borkowską było.

Idea tego spotkania wykluczyła rozmowy na tematy bieżące: społecznie, politycznie, ideowo. One są bardzo ważne i mieliśmy tego świadomość. Chcieliśmy pozostać przy tym nurcie refleksji, który prowadził nas przez spostrzeżenia życiowo ugruntowane. Można powiedzieć, tym nurtem, który przeszedł pomyślnie próbę czasu. Tu zapewne widać będzie różnicę, która ujawnia się, gdy wywiad-rzekę prowadziły z Osobą dziennikarz praktykujący w zawodach medialnych. Liczyłaby się aktualność, nowość, odniesienie do spraw istotnych, ważnych, także wartość, która wywodzi się z ryzyka rozsądzania, oceniania czy zajmowania stanowiska wobec spraw bieżących, zawsze podlegających kolejnym weryfikacjom. Pytał były praktyk dziennikarstwa, więc sobie ten wartki nurt zdarzeń odpuścił. Uznaliśmy nie tyle, że tak będzie bezpieczniej, ale że tak będzie nieco chłodniej, a więc może i nieco ponadczasowo.

Wywiad biograficzny czy dziennikarski wywiad-rzeka ma ustaloną i spetryfikowaną formę, jego czytelnicy zwykle wiedzą, czego oczekują, na co mogą liczyć, czego się w takiej rozmowie i po takiej rozmowie spodziewać. Postanowiliśmy, Borkowska z Borkowskim, nie bez sporów i poświęcenia czasu, by ostatecznie przystać na takie rozwiązanie, by w tej rozmowie konwencję gatunkową nieco zmienić. Jedno powiedziało, że to kasza i nikt niczego z sensem w tym nie znajdzie, bo brak następstwa, wynikania, łańcuchów przyczynowo-skutkowych.

Drugie tylko tak chciało, by nie iść utartą drogą i wciąż nie obiecywać, że zaraz się dowiemy, co było dalej. Ustaliliśmy, że chyba jednak wspólnie wprowadzamy nowy typ tego typu wywiadu, niby wciąż jest on biograficzny, ale biografia staje się tu pretekstem do pytań, na które odpowiada się obok życiorysu, wcale w tych odpowiedziach nie będziemy mieć nowych danych dotyczących Borkowskiej. Będziemy wędrować po obrzeżach, po skojarzeniach, peryferiach. Bo tu ważne mają być tematy, motywy, wartości i ich związek z Borkowską. Długa rozmowa biograficzna rodzi specyficzną więź między jej uczestnikami. Bardzo nam zależy, by Czytelnik stał się uczestnikiem naszego dialogu, by stał się po prostu Borkowską lub Borkowskim i wspólnie z nami, Borkowskimi, porozmawiał sobie, powspominał, wrócił do dzieciństwa, zastanowił się, kto ją (lub jego) życiowo formował, co czytała (lub czytał) w dzieciństwie, jakie znaczenie mieli ludzie wokół, co wyniosło się z domu rodzinnego, co ze szkoły, co dały studia lub życie zawodowe i rodzinne. Czasy? Polityka? Bóg? A co z Bogiem? Konwencja rozmowy została w naszej książce złamana jeszcze raz. Rozmowa zakłada proporcjonalne zaangażowanie obu stron. Rozmawiać będziemy jak Borkowska z Borkowskim, ale to jest jednak (i tak miało być) mówienie Borkowskiej i próba słuchania przez Borkowskiego. Dlaczego Borkowska tu mówi? Bo ma coś do powiedzenia. Dlaczego Borkowski słucha? Bo się ćwiczy z słuchaniem, a to naprawdę nie jest prosta i łatwa sztuka. Niech mu będzie wybaczone, jeśli się zbyt często odezwie nieproszony.



Postulantka bardzo przejęta (1965)

I. LUDZIE

(Od czegoś trzeba zacząć, w związku z tym pytający uznał, że najlepiej – od początku. Ponieważ był ambitny i chciał skomplikować sprawę, więc wykoncypował, że trzeba zacząć od Ludzi, bo bez nich nic się nie wydarzy, choćby później miało się iść na pustynię)

Kształtuje nas dom rodzinny, otoczenie, czas historyczny, w którym dane nam było przyjść na świat... długo można by jeszcze wyliczać. Niby to obserwacja zbanalizowana, ale trudno byłoby nie wrócić na początku naszej rozmowy do wspomnień z domu rodzinnego. Zarówno te pierwsze reminiscencje, najdawniejsze, jak i kolejne chciałbym jednak skoncentrować na rozmowie o ważnych Postaciach. Chyba ostatecznie jest przecież tak, że pamięta się i docenia ten ludzki wpływ, on jest ważniejszy od świata rzeczy i miejsc.

Wspomnienia z dzieciństwa zawsze dotyczą tych, którzy nas kształtowali, są subiektywne.

Rodzice i Babcia.

Tak jak myślę o nich teraz, czuję się, jakbym wchodziła we własne korzenie. Przez geny, przez wpływ i kształtowanie.

Wiesz, Igor, że troje nas było. Wyrośliśmy na coś różnego, ja na utrapienie – rodzice ciężko przeżywali moją decyzję

o klasztorze. Byłam im naprawdę wielkim utrapieniem... dopóki nie zrozumieli.

Mimo to im człowiek starszy, tym więcej odnajduje w sobie pojęć, reakcji, słów, które swego czasu słyszał, które kiedyś nawet denerwowały. Rodzice mieli wyraźną specjalizację, tak bym nazwała ich odmiennosc, to, że byli absolutnie różni: Ojciec to dla mnie niewzruszone tło pewności, był cichy jak tło, bardzo niewiele mówił, a już na pewno niczego nie uczył.

Był jednocześnie absolutnie konieczny, bez tego tła wszystko wisiałoby w powietrzu.

Mama była jakby rzucony na to tło obraz kwitnącej gałęzi. Była głównym źródłem radości.

Była też babcia, która wplatała w tę kompozycję ciemne tony i najciekawsze opowieści. Lepiej ją dzisiaj rozumiemy, bo sami reagujemy tak jak ona; nadto, patriotyczne wychowanie to była głównie babcia. Po prostu dlatego, że ona jedna w tym zespole nie bała się wielkich słów. Nawet je lubiła.

Zostawmy szczegóły z dzieciństwa. Siostra o nich zresztą wielokrotnie opowiadała, wrócimy do nich jeszcze. Tymczasem mamy te pierwsze postaci, otoczenie rodzinne. Dorasta się i wreszcie trzeba z domu wyjść. I kto pojawia się wówczas?

A potem to straszne mnóstwo ludzi, którzy mieli na mnie wpływ i od których doznawałam bardzo dużo dobra.

Skoro tak zaczynamy, to ja bym chciał od razu zastrzec, że ta nasza rozmowa nie jest tylko czy przede wszystkim rozmową biograficzną.

To wszystko, co by Czytelnik chciał wiedzieć odnośnie faktów biograficznych, znajdzie w biografii. Pytanie i odpowiadanie na przykładzie siostry Małgorzaty Borkowskiej ma pokazać drogę albo drogi życia, po których Się Idzie, a nie takie, które Ktoś Raz Przeszedł. Dlatego zaczynamy od poszukiwania śladów Ludzi, z którymi albo się spotkało, albo się droga życia przecięła, albo chociaż gdzieś na horyzoncie zamajaczyli, ale już ten cień, przesuwając się dokoła, zmieniał sposób widzenia świata.

Chciałabym opowiedzieć głównie o toruńskich mistrzach, którzy uczyli wiele więcej niż tylko swojego przedmiotu. Poszłam w 1956 roku na toruńską polonistykę, to był Ten Październik. Zrobiło się dużo zmian, wrócił Konrad Górski, który był wcześniej wykluczony z nauczania, Tadeusz Czeżowski – zawsze był cichy jak ściana; Henryka Elzenberga przywrócono. Tak, obaj Górcy, Konrad i Karol, plus Zofia Abramowiczówna, plus rodzina Dąbrowskich, w której byłam jak zapasowa córka. To był krąg postaci, które dzisiaj na pewno, ale chyba i wtedy widziałam jako punkty odniesienia, mistrzów, wzory, może po prostu krąg zakorzenienia. Krystyna Dąbrowska – jedyna córka wspomnianej rodziny, dziś emerytowana profesor w Warszawie; z nią dogadałyśmy się już w pierwszym czy drugim tygodniu studiów, wyobraź sobie: na *Kubusiu Puchatku* i na twórczości Antoniego Gołubiewa, który był przyjacielem rodziny. Byłyśmy od tego czasu nierozłączne; pytano panią Dąbrowską, która właściwie to pani córka...

Gdy nadszedł czas studiów, trzeba było znaleźć jakieś mieszkanie dla mnie, jakąś stancję w mieście. Rodzice mieszkali

wtedy w Bydgoszczy, a wedle ówczesnych praw to było „tylko” godzinę drogi od Torunia, więc akademik w Toruniu mi nie przysługiwał. Umieścili mnie najpierw u dwóch wdów po pastorach ewangelickich w Toruniu, potem wynajęli mi pokoiczek na Bydgoskim Przedmieściu. Pod koniec studiów przeniosłam się już do Dąbrowskich, prowadzili dom otwarty z mnóstwem gości, znajomych, odwiedzających przy każdej niemal okazji; to było bardzo serdeczne środowisko.

W ogóle cały Uniwersytet w Toruniu prawie w niezmiennym składzie był przeniesiony z Wilna, cała jego kadra. Profesor Stefan Srebrny, klasyk, znawca antycznego dramatu; och to niby nie był mój profesor, ani osobista znajomość, ale jednak obie z Krystyną chodziłyśmy na zajęcia i do klasyków. Srebrny wyglądał, że trzech groszy byś nie dał, głos skrzypiący jak piła. I to mocno stępiąca. Ostatni, który mógłby przekazywać jakieś piękno. A gdy zaczynał recytować, to nie był już ten sam człowiek. Wystarczyło słuchać. Był jak chór i wszyscy soliści w jednej osobie. Wiesz dlaczego? Bo rozumiał, co mówi, i kochał to piękno. To dawało niezwykle szacunek dla literatury i samego kontaktu z nią. Gdy dzisiaj o tym myślę, dochodzę do wniosku, że wtedy jeszcze tylko instynktownie, jeszcze nie do końca świadomie raczej przeczuwałam wagę słowa i jego rozumienia.

Zofia Abramowiczówna, też klasyk, zwana przez znajomych Anakondą. Miała fantastyczne poczucie humoru. Mieszkała z mamą, siostrą i siostrzeńcami, a mama to była „babcia Puma”. Anakonda miała życie niezwykle uporządkowane, dzień w dzień jedna strona dla Lasek alfabetem Braille’a,

brała do przepisywania teksty, których nikt nie chciał transkrybować. Zajmowała się tym nieprzerwanie, przez półwiecze, przepisała kilkadziesiąt tomów, w tym podręczniki do nauki języków obcych. Dzień w dzień odkurzała jedną półkę książek, więc kiedy nie przyszedłeś, wciąż był tam porządek i czystość. Kanapa, stolik, krzesło.

Popatrz, trafiałam na postaci silne, wyraziste. Abramowiczówna miała niezwykłą biografię, po wojnie zaczęła pracę na Uniwersytecie, została z niego wyrzucona, wróciła w 1955 roku. Pracowała nieustannie, do końca życia.

Ja wtedy, na początku studiów, bardzo pilnie szukałam literatury religijnej. Ona miewała bardzo ciekawe książki, angielskie i francuskie. Patrzyła na mnie i mówiła: Kotuś, Kotuś, ty byś pewnie chciała... I tu pojawiała się kolejna propozycja, otwierał się nowy, nieznanym dla mnie świat. Od niej C.S. Lewisa pierwszy raz czytałam.

Po moim drugim roku polonistyki, tak dla przyjemności, Anakonda zaproponowała, że może by mnie uczyła greki – za nic, dla niej i dla nas. Widzisz, ja zupełnie bez zasług znalazłam się w kręgu ludzi, którzy byli bezinteresowni i mieli kapitał wiedzy, którym mogli i chcieli się dzielić. Ale to mało, to byli ludzie uformowani wokół pewnych wartości, które w każdej kolejnej postaci, postawie, emocjach odnajdowałam.

Anakonda była zapaloną, ach ja to o niej kiedyś napisałam, zapaloną grzybiarką! Długie godziny w lesie, jesień dla niej istniała przez grzybobranie. I uważaj: greckim heksametrem witała każdy znaleziony prawdziwek.

Człowiek, którego nie mógłbyś pognać. Zawsze znalazła we wszystkim coś dobrego. Mawiali o niej ludzie, że jest sybarytką, w tym znaczeniu, że we wszystkim umiała się czymś rozkoszować, nawet nie cieszyć, ale wręcz rozkoszować. A to brało się z prostej postawy: mówiła, że Pan Bóg stworzył wszystko dobre. Wyobraź sobie, tuż przed świętami leży po złamaniu nogi na wyciągu, i: Kotuś, jestem taka szczęśliwa, jestem rozpieszczanym dzieckiem Pana Boga. To była jej postawa. Wpływała na mnie bardzo mocno przez samo swoje istnienie i przez książki, które mi pożyczała. Ja już wtedy dokładnie widziałam tę relację, ten związek człowieka ze słowem. Gdy sama zaczęłam pisać, miałam wokół krąg postaci, które obdarowywały mnie częścią siebie: albo swoim tekstem pisany, albo za pomocą lektury, odkrywanego w niej świata, obrazów, zawartych myśli.

Każdy miał prawo do czasu Anakondy. Jednocześnie bardzo pilnowała, gdy na kolację były kartofle ze zsiadłym mlekiem, by były starannie przykryte lnianą serwetką. Rozpięta między skrajnościami: przyziemności, banalności, prostoty, wiary, mądrości, wiedzy...

To Anakonda, a nie żaden wielki mówca czy duszpasterz, była w Toruniu uważana za coś w rodzaju ekspozycji Pana Boga. Dla mnie jednym z wielkich przeżyć, taką splątą długu wobec niej, wiele lat po jej śmierci był zjazd rocznicowy w tej samej sali senatu, w której ona zasiadała, i wtedy był moment, gdy mogłam wygłosić laudację ku jej czci.

Teraz jest łatwo o źródła – dotyczące toruńskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, są tam oparte na materiałach z Instytutu

Pamięci Narodowej charakterystyki Anakondy i jej otoczenia. Popatrz, co mogło zdecydować, jakaś pogłoska, ton, skojarzenie, to mogło rozstrzygać o ludzkim losie. Jej przyjaciółkę, Leokadię Małunowiczównę, zajmowała się chrześcijańskim antykiem, wygnano z Torunia; poszła na KUL. Dlaczego? Bo mówiła wiele i bez opanowania. Anakondę zostawiono w Toruniu, ale bardzo pilnowano. Śmieszne to były czasy, nikt z zewnątrz nie byłby w stanie domyślić się, co tam wolno było, a co nie. To była gra półcieni, okoliczności, ale najczęściej to była gra słów, świat etykietek: wróg klasowy, fideista... etykieta wystarczała, rozstrzygała o ludziach i ich losie na lata albo i na całe życie. Bardzo często coś wczoraj niedozwolonego po zmianie etykiety było dzisiaj już dozwolone, doceniane, właściwe ideologicznie. I z ich losem tak było. Obie zresztą uważam za postaci, które miały na mnie ogromny wpływ, Anakonda w Toruniu, a Małunowiczówna? Żadna strata: wygnana do Lublina, była tam, gdy ja poszłam do Lublina na studia teologiczne!

Nie tak szybko, jeszcze do Lublina zdążymy. Jesteśmy w Toruniu, na początku tej fascynacji polonistyką. Rozumiemy się, ja przecież też jestem polonistą, mnie tego nawet szczególnie nie trzeba tłumaczyć. Wpływ klasyków też rozumiem, u początków studiów polonistycznych jest przecież po prostu filologia. Ale spod spodu przeziiera coś innego, to mogła być moim zdaniem polonistyka, to mogło być cokolwiek. Ludzie, miejsce i klimat intelektualny, to było tak naprawdę to, co się wtedy zbiegło w jedno. Jednemu się zbiegnie, innemu nie. Zbiegło się.

Będziesz mi wciąż powtarzał, że to był przypadek, jesteś gramatykarzem, lubisz przypadki, wiem. To ci opowiem historię mojej znajomości z Elzenbergiem. Henryk Elzenberg był wtedy w Toruniu, historyk filozofii, aforysta, aksjolog. Niby był na uniwersytecie, nie wiem, w jakiej roli, a może już był emerytem. W każdym razie już się nie udzielał, chociaż formalnie wrócił do nauczania od października 1957 roku. Można go było spotkać tu i tam. Starszy pan, zawsze starannie owinięty szaliczkiem, z bardzo przejętą miną, no i wiesz, myśmy, nasze pokolenie, patrzyły na niego jak na coś nie całkiem z tej ziemi, może raczej z nieba, przynajmniej jedną nogą, bo to taka sława, taki myśliciel, nie wiadomo co. Prywatnie był to bardzo spokojny, w naszym pojęciu stary kawaler, bo żonaty był dawno i na krótko. Niespecjalnie towarzyski, ale w towarzystwie potrafił być błyszczący.

Chyba to było, gdy byłam na pierwszym roku studiów, zaczął pisać o Davidzie Hume i rozglądał się za kimś, kto pisałby na maszynie pod jego dyktando i nie bałby się cytatów anglojęzycznych, przez niego dyktowanych. Zwrócił się do naszej lektorki angielskiego. Ja byłam na lektoracie zaawansowanym, no i wiesz: jako maszynistka piszę do dzisiaj dwoma palcami, ale znajomość angielskiego jako taką miałam, ostatecznie nie było lepszej, nie żebym była jakaś anglistka, znajomość języków była u nas wtedy naprawdę bardzo niska.

Skromność skromnością, to skąd ten angielski? Pytam też dlatego, że wciąż czekam, by dowiedzieć się czegoś więcej z tych początków. Nie nalegam, czekam. Ale angielski to trzeba wyjaśnić.

Uczyłam się go najpierw dwa lata w szkole, potem prywatnie; prywatna nauka to zawsze coś więcej; mówić jak mówić, ale czytałam bez trudu. Najgorzej było słuchać. Najgorzej to słuchać Anglika, który mówi po angielsku... Ale Elzenberg na szczęście nie był Anglikiem, więc nie wymawiał tak, żebym nic nie rozumiała. Kiedy tam do niego pierwszy raz przyszedłam, mało nie padłam z wrażenia, że taki zaszczyt. Potem troszkę się przyzwyczaiłam. Strasznie mnie to zaintrygowało, że to historia filozofii, że to, że tamto. Zaraz kupiłam sobie Hume'a, zaczęto wtedy właśnie publikować literaturę filozoficzną, nawet wydawało mi się, że coś rozumiem. Pisałam u Elzenberga dwa czy trzy razy w tygodniu; cała bieda w tym, że to trwało krótko, tylko do końca roku akademickiego. A potem, jesienią, Elzenberg potknął się, złamał nogę, długo bardzo leżał w szpitalu, cierpiał potwornie. Raz, że ta noga na wyciągach jakichś, a dwa, że odleżyny mu się zrobiły. Za skarby świata nie chciał płacić za ekstraopiekę, bo uważał, że to nieetyczne. W Toruniu uważano, że to raczej było skąpstwo. Ale żadne skąpstwo nie wytrzymałoby takiego cierpienia przez ten miesiąc czy dwa. I ja przychodziłam go odwiedzać, ale z wielkiego szacunku i z przerażenia tym jego stanem siadałam, patrzyłam i nic nie mówiłam, bo mi po prostu gębę zatykało. On chyba te moje odwiedziny szczególnie lubił. Bo nie trzeba było nic odpowiadać. Nie męczyłam go rozmową.

Potem, kiedy już Elzenberg wrócił do domu i jakoś się zaleczył, to tego Hume'a zarzucił i nie było więcej mojego pisanie sekretarskiego. Ale pozostała znajomość... Trochę się z nim oswoiłam i gęba mi się rozwiązała. Kilka razy do roku do

niego przychodziłam. A trzeba ci wiedzieć, że w ówczesnej Polsce telefon to było coś, o czym się słyszało; dostać telefon do domu, to i pieniądze, i kontakty trzeba było mieć. Telefonu wtedy nie było, nie było jak zawiadomić o wizycie; po prostu się przychodziło, nie umawiając się, ryzykując, że trafi się na nieobecność, czy też w sam raz nie wtedy, kiedy trzeba. (Ja do tego stopnia nie umiałam użyć telefonu, że gdy podczas wycieczki szkolnej w Warszawie postanowiłam się urwać i odwiedzić ciotkę, która tam mieszkała – ciotka, wyobraź sobie, już wtedy miała telefon; no więc ja zaszłam do sąsiedniej jakiejś kawiarni, zapytałam, czy mogę użyć telefonu. Ależ proszę. Nie umiałam nakręcić, rozumiesz. I zamiast wsadzić palec na przykład w piątkę i kręcić do oporu, wkładałam, powiedzmy, w jedynekę i dociągałam do piątki... i puszczałam, niczego w ten sposób oczywiście nie nakręciłam. Wielka znajomość techniki. Jak się to dzisiaj mówi, to wierzyć nie chcą, że coś takiego jest możliwe. W końcu szatniarka mi nakręciła ten numer, bo po prostu przyznałam w końcu, że nie umiem.) No więc, szłam do Elzenberga zawsze w ciemno. Szłam tak na dziko, mówiliśmy o wszystkim, właściwie jednak chyba głównie to ja mówiłam. On pewnie myślał, że skoro się podłotek rozgadał, to niech się wygada. A ja akurat pisałam pracę magisterską, więc trochę o lekturze do tej pracy opowiadałam. Akurat wtedy mi wyskoczyło czytanie Teresy z Avili, a pracę pisałam o *Nadobnej Paskwalinie* Samuela Twardowskiego i potrzebny mi był klimat XVII wieku...

Żeby zrozumieć, trzeba poznać. Lepiej teraz rozumiem to płynne przechodzenie między epokami w Siostry badaniach, które mnie zawsze tak zastanawiało. Dawna epoka i postać, obecna, współczesna, przedwieczna, wszystko jedno w sumie, czyta się i wiadomo: znały się, dobrze wiedziały, co która ma na myśli.

Ten krótki czas, gdy pisałam pod dyktando Elzenberga, pokazał mi, widziałam to, byłam najbliżej: jak postępuje proces zrozumienia, jak rodzi się nie tyle interpretacja, co owoc współrozumienia drugiego człowieka, choćby był przodkiem sprzed wielu pokoleń. Kiedyś opowiadałam Elzenbergowi jakieś sztuki Friedricha Dürrenmatta, które oglądałam w Warszawie, był ich ciekawy. Chodziłam do niego też na wykłady, bo raz jedyny, gdy w 1958 roku chyba otwarto studia na Wydziale Filozoficznym u nas w Toruniu; Elzenberg miał wykłady z historii etyki, potem to się jakoś tak rozwiało. Wyjechałam z Torunia i straciłam z nim kontakt, ale przecież popatrz, ślad pozostał, wszystko się zmieniło, wszystko nowe, a ślad został. W Toruniu wtedy, w końcu lat pięćdziesiątych, było mnóstwo ludzi takich, których warto było znać i warto było pamiętać. Osobna historia to są obaj Górcy, Konrad, polonista, historyk literatury XIX wieku, i Karol, historyk; Konrad Górski organizował Uniwersytet, był pierwszym dziekanem Wydziału Humanistycznego, w 1950 roku został wyrzucony, przepracował do 1956 roku w Instytucie badań Literackich w Warszawie. Wrócił na Uniwersytet tryumfalnie, dosłownie tryumfalnie. W 1956 roku. Miałam z nim niewiele zajęć, miał dla nas kursowy wykład o dramacie romantycznym, w następnym roku, ale se-

minarium magisterskie otworzył dopiero dla rocznika, który przyszedł po mnie. Chciał prowadzić seminarium od początku sam, być głównym formatorem tego rocznika, nie miałam więc możliwości, by pod jego kierunkiem pisać pracę, a pewnie bym na takie seminarium poszła do niego, nie tyle dla literatury romantycznej, ale dla tego, co sam Konrad Górski mógł dać...

On otworzył później międzywydziałowe ćwiczenia z recytacji – słuchaj, trzeba było największą salę w Collegium Maius na to wziąć, przychodzili fizycy, chemicy, dosłownie wszyscy. Wszyscy ci, których zawodowo czy pozazawodowo interesowała sztuka słowa. A Konrad Górski tę tezę głosił i sam to umiał zrobić, że tekst, jeśli się chce oddać dobrze, najpierw trzeba dogłębnie zrozumieć, nawet nie w znaczeniu, „co autor miał na myśli”... ale tak, żeby każde słowo miało dla mnie sens w tym miejscu, w którym stoi, i tak łączyło się z innymi słowami, jak się łączyło dla autora. Tego zrozumienia bardzo często ludzie nie mają, to się słyszy nagminnie, w kościele i gdzie indziej. Bardzo często, gdy nie rozumieją, przybierają po prostu uroczysty ton. Ale to jakoś dziwnie nie pomaga... Raz kiedyś, raz w życiu, słyszałam lektora, który czytał bardzo trudny tekst św. Pawła w taki sposób, jakby sam go napisał. Ten tekst miał natychmiast głowę i nogi, miał przejrzystą strukturę, było wiadomo, co tu jest czym czego i o co Pawłowi chodzi. To był kilkunastoletni chłopiec, niewidomy, w Zakładzie w Laskach, czytał Braille'em. Powtarzam, raz w życiu coś takiego słyszałam w kościele. Święty Paweł jest bardzo trudną lekturą do oddania głośno, zwłaszcza gdy ktoś chce się trzymać zwyczajnego czytania. My w chórze zakonnym mamy pe-

wien ton, na którym czytamy, porządkujący i wspomagający lekturę głośną. Oczywiście, jest ważne, gdzie kto zrobi pauzę, to nadaje inny sens i wtedy też widać, czy się wie, o co chodzi, czy się tylko czyta. Ale to jest, powiedzmy, nie tak trudne, jak czytanie takie zwyczajne. To jest, wiesz, fascynująca rzecz. Pauza to jest nic, spacja między słowami, czyli pustka, ale jednak to nadaje nieraz sens całemu zdaniu.

Pauza. Nic, pustka. A jednak to nadaje sens. Nic.

Posłuchaj, historyjka zupełnie komiczna. W Żarnowcu jeszcze za głębokiego PRL, gdzieś w połowie czerwca wypadła uroczystość Pierwszej Komunii Świętej; było już trochę letników. Wszyscy oni słyszą w kościele ogłoszenia: W przyszłą niedzielę na mszy, o godzinie dziewiątej trzydzieści, dwoje dzieci będzie przyjętych do Pierwszej Komunii Świętej. Letnicy się zdumiali, dlaczego tylko dwoje, zaraz powstały teorie, ludzie przychodzili do furty pytać, czy jakaś zaraza była, czy schizma we wsi. Ktoś nawet wymyślił, że to są jakieś dzieci ubeka z drugiego krańca Polski, które tu potajemnie zostaną przerzucone. A tam było tylko twórcze podejście do tekstu ze strony czytającego wikarego. Bo tekst powinien brzmieć: W przyszłą niedzielę, na mszy o godzinie dziewiątej - pauza - trzydzieści dwoje dzieci...

Z tymi pauzami to jest nieraz komiczna rzecz albo i smutna, bo widać, że ktoś po prostu tekstu nie rozumie, robi pauzę, bo mu oddechu nie dali, albo tylko dlatego, że tak mu się przystało. Niweczy więc między słowami, które muszą się ze sobą stykać, można by to jakoś bardziej fachowo określić, ale wiesz, o co chodzi.

Moja myśl wciąż krąży wokół szacunku dla słowa i jego zrozumienia. Konrad Górski miał to, że on pauzami, tonem operował bezbłędnie; i tekst, który wydawał mi się niezrozumiały, nabierał sensu. Bo on umiał pokazać strukturę, która ten sens nadawała. Pamiętam, jakim przeżyciem było, gdy na tych jego wykładach dramatu romantycznego czytał nam Wielką Improvizację. Ja nigdy przedtem nie widziałam w niej sensu, tylko patos. I nagle cały sens tego tekstu stał się jasny. No pewnie, że do tego trzeba było dodatkowych informacji, których on nam udzielił, pokazania zależności literackich, wyjaśnienia wpływów filozoficznych, które tam widać, ale sam sens tekstu stał się jasny przez sposób, w jaki on go oddał. Niestety, tego dzisiaj bardzo brakuje, zwłaszcza ludziom, którzy recytują Radosną Nowinę bez zrozumienia i rozpoznania sensów, to się wtedy robi coś zupełnie smętnego...

Jeszcze jedną rzecz Górski umiał nam dać: przekonanie, że literatura piękna, wszystko jedno, czy to będzie poezja, czy powieść, czy cokolwiek innego, to nie jest zabawa dla ludzi, którzy są niepoważni, ale mają dużo czasu; tylko że to jest sposób wyrazu, który powie lepiej i więcej niż inne. Są dziedziny myśli, w których bardzo trudno jest wypowiedzieć, zwłaszcza przeżycie swoje, inaczej niż metaforą. A tu się operuje metaforą, obrazem. Taka przenośnia może być długa jak cały tom powieści, to może być obraz, alegoria, ale może trafić w sedno, tam, gdzie definicja mogłaby zawieść.

To było to jedno wielkie zagadnienie, wtedy szczególnie ważne do wyjaśnienia – różnica w myśli ludzkiej między naukami eksperymentalnymi, fizycznymi a humanistycznymi,

dotyczącymi zwłaszcza myśli. I to już był błąd zaciągnięty od czasów modernizmu, gdy ludzie się tak zauroczyli metodą eksperymentu i metodami uprawnionymi rzecz jasna w naukach fizycznych, że chcieli te same metody stosować do wszystkiego innego, do literatury, do teologii...

Nie da się?

Absolutnie się nie da. Słuchaj, eksperyment jest doskonałą metodą w chemii, ale nie zastosujesz go w historii. W historii się nie da, a w chemii eksperyment to konieczność. Uprawianie historii polega na odkrywaniu przekazów źródłowych, interpretowaniu źródeł, wazeniu prawdopodobieństw, opieraniu jednych źródeł na drugich, konfrontowaniu źródeł, dociekanii, dlaczego się zgadzają, ale jeśli się nie zgadzają, to też szukaniu odpowiedzi na pytanie: dlaczego. Po pierwsze, tu trzeba stosować jak najszerszą sferę źródłową, i tych źródeł nadal jeszcze trzeba nieraz szukać; po drugie, trzeba stosować logikę, bo nie może być jednocześnie prawdziwe to, co jest sprzeczne. (To by zresztą trzeba przypomnieć współczesnym biblistom.) Po trzecie, znajomość tendencji natury ludzkiej. A eksperyment ci tu nic nie da. Przecież nie będziesz eksperymentował z przeszłością. No dobrze, ale jeśli gdzieś w początku XX wieku byli ludzie, którzy uważali, że tylko to, co eksperyment da, jest w ogóle możliwe do przyjęcia i chcieli to stosować w teologii, no to przepraszam bardzo: nie tędy droga, do tej sprawy trzeba także podejść od strony źródeł i logiki. Podstawowa kwestia: jak mam eksperymentalnie doświadczyć Boga?